

Wojciech Stanisławski: Pożegnania z Donaldem

Większość europejskiej lewicy w międzywojniu nie potrafiła potępić sowieckiego państwa, bała się, że głos potępiający zarazem Hitlera i Stalina okaże się cieńszy od pisku. Rozumiem ich lepiej niż przed laty.

Zarysowanie w krótkim tekście panoramy postaw europejskiej lewicy wobec zwycięskiej rewolucji bolszewickiej i wyrosłego zeń państwa jest oczywiście niemożliwe. Taka opowieść stanowi, w gruncie rzeczy, pokaźną część nieobjętej historii XX wieku – a przynajmniej historii idei, ale i praktyki politycznej. Nawet Wikipedia, ze swoim talentem do kompresowania danych, nie podejmuje podobnych prób, a bibliografia przedmiotowa zagadnienia musiałaby liczyć tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy, pozycji, od opasłych dziejów państw, przez zbiory listów prywatnych, po mikrohistorię komórek partyjnych walijskich progresistów czy duńskich socjaldemokratów.

Nie jest jednak, być może, niemożliwe, nakreślenie przynajmniej głównych osi, przy pomocy których można by tworzyć mapę takich postaw – i wskazanie na tak zasugerowanej płaszczyźnie głównych linii podziału. Dodatkową komplikacją będzie jednak fakt, że bolszewizm/komunizm dojrzał i rozwijał się w czasie: czym innym były nadzieje pogrobowców II Międzynarodówki, żyjących jeszcze wspomnieniami wielkich nadziei XIX wieku, a czym innym – pragnienia i gry lewicowców o pokolenie późniejszych, doświadczonych dramatem wielkiego kryzysu i tragedią drugiej wojny światowej.

Przeczytaj również: Bolszewizm jako antycywilizacja

Możemy, najogólniej, mówić o wielkich nadziejach lewicy wchodzącej w XX wiek. Marzono wówczas o wprowadzeniu wielu zmian i reform, które dziś wydają nam się tak oczywiste, że nie posiadają zabarwienia politycznego: formuła emerytur, podstawowego ubezpieczenia zdrowotnego, obowiązkowej oświaty czy równouprawnienia politycznego jest w Europie od stu (lub w najgorszym razie kilkudziesięciu) lat oczywistością. Spory dotyczyć mogą modyfikowania tych rozwiązań, przepływu środków lub szczegółów realizacji. Sto lat temu z okładem, po wybuchu rewolucji bolszewickiej, takie rozwiązania raczkowały dopiero w Niemczech czy w państwach skandynawskich, dekretowane były (bez jednak możliwości ich natychmiastowej realizacji) w odradzających się lub nowych na mapie krajach w rodzaju Polski lub Czechosłowacji. Państwo, które obiecywało ich pełną realizację w ciągu kilku lat, mimo legendarnego ubóstwa i równie legendarnej powierzchni i populacji musiało rodzić uznanie i chęć naśladowania.

W oczach działaczy i sympatyków lewicy, przez całe życie marzących o spełnieniu haseł głoszących wolność, równość i braterstwo (tyle, że z nowoczesnym, XX-wiecznym polorem) to państwo, obalające anachronicznych, okrutnych carów i proklamujące równość naprawdę mogło być tych marzeń inkarnacją. Również myśliciele bardziej trzeźwi, mniej myślący o ideale *fraternité*, a bardziej o *racjonalności gospodarki wyzwolonej od bratobójczej konkurencji, optymalnie wykorzystującej zasoby w procesach sterowania i planowania, mieli powody, by patrzeć z sympatią na programy industrializacji, na wielkie budowy, na rozmach towarzyszący inwestycjom infrastrukturalnym czy komasacji*

gruntów. Fraternité nie przestawało z kolei pociągać wszystkich udreńczonych codzienną, zapiekłą niechęcią ludzi różnych języków, religii czy ras: w stabilnych (jak długo?) krajach owocującą piekiełkiem nacjonalizmów, bojkotów i bójek, w szerokim świecie stających się paliwem wojen i gorszych od nich rzezi w rodzaju tej w Nankinie.

Oczywiście, niemal od początku wiadomo było przynajmniej o niektórych odstępstwach rewolucji bolszewickiej od ideału: jednych zgorszyć mogła śmierć rodziny carskiej, innych – wieści o represjach wojny domowej. Pamięć o tych doświadczeniach zatarła się wraz z triumfami pierwszych pięciolatek; późniejsza wiedza o represjach politycznych, klęskach głodu, morderstwach sądowych, torturach, przesiedleniach i łagrach traktowana była (co najmniej do czasu referatu Chruszczowa po XX Zjeździe) jako w najlepszym razie – półprawdy mizantropów, zwykle zaś – jako propagandowe oszczerstwo. W bardzo złagodzonej wersji była jednak zazwyczaj obecna gdzieś „w tyle głowy” ludzi europejskiej lewicy, okrywana kołderką formuły o wiórach, które lecą z rąbanych drzew lub przekonaniem o pewnej przyrodzonej brutalności „Rosjan”, niemożliwej do powtórzenia przy wcielaniu socjalizmu w życie w Austrii czy Szwecji.

No właśnie, prócz zmiennej czasowej dochodzi, komplikując nam wszelką pracę nad panoramą, zmienna geograficzna i historyczna: inaczej reagowała lewica w krajach doświadczonych przez sąsiedztwo, dominację i opresyjność Rosji, inaczej w tych, które postrzegały ją jako dobrodusznego, egzotycznego olbrzyma, historycznego sojusznika, a czasem wręcz – wyzwoliciela. Wyjątkowa trzeźwość spojrzenia polskich socjalistów (szczególnie z szeregów PPS) była zazwyczaj wyjątkiem na tle nadziei serbskich, bułgarskich, niemieckich, francuskich i hiszpańskich ludzi lewicy.

Mniejsza jednak o postawy i wybory partii socjalistycznych – w zdecydowanej większości, pomijając inicjatywy Frontów Ludowych we Francji i Hiszpanii, patrzących dość trzeźwo na rewolucję bolszewicką, na praktyki polityczne ZSRS i wahających się między dystansem a wrogością. Mniejsza nawet o arsenał działań propagandowych i korupcyjnych podejmowanych przez ZSRS z zamiarem *captatio benevolentiae* Zachodu, choć przecież w systematycznym opracowaniu nie sposób tych działań zlekceważyć.

Myślę o pochwyconym, jak na portrecie zbiorowym, stosunku do rewolucji i państwa bolszewickiego społeczności nie ujętej rygorami członkostwa w partii socjalistycznej: ogromnej zbiorowości „sympatyków lewicy”, stanowiących istotną część klasy robotniczej, pokaźną część inteligencji i „wolnych zawodów”, dominującą część elit artystycznych i intelektualnych Europy. Różny był stopień ich upolitycznienia, różna (zwykle bardzo powierzchowna) znajomość głębszych zjawisk i realiów Rosji Sowieckiej.

Wspólna była nie tylko sympatia wobec czegoś „wielkiego i nowego”, wobec gigantycznej skali zmian, dokonujących się w ZSRS i kosmicznych wręcz – składanych przez Moskwę deklaracji. Jako się rzekło: jednym zachwytem ten przeszedł prędko, po egzekucji w Jekaterynburgu, wygnaniu Trockiego czy pierwszych opublikowanych na Zachodzie relacjach z łagrów. Inni zaczęli się wahać w latach Hołodomoru i Wielkiej Czystki; jeśli jednak nadwątloną nadzieję zdolali donieść do lat triumfu Armii Czerwonej nad niemieckim potworem, zwykle płonęła w nich ona, nowym płomieniem, aż do referatu Chruszczowa. A bywa, że i dużo dłużej, jak wiemy z nieśmiertelnych wersów Szpotańskiego:

*Bo nic nie wzrusza tak Zachodu,
jak szum frazesów o wolności.
Możesz pół świata zakuć w dyby,
strzelać w tył głowy, łamać kości,
ale bredź przy tym o ludzkości,
o Lepszym Jutrze, Wielkim Świecie,
a wyjdiesz na tym znakomicie!*

To oczywiście „Caryca i zwierciadło”, a dorzucimy jeszcze wers czy dwa z „Bani w Paryżu”:

*Dziś w wielkim świecie na Zachodzie
komunizm jest w ogromnej modzie,
dlatego każdy człowiek z szykiem
musi być tutaj bolszewikiem,
wielbić Lenina, Soso, Mao,
co wkrótce może być za mało
i wówczas tylko Khmer Czerwony
wstęp będzie dawał na salony.*

Tak, śmiejemy się z tego szeroko, z rozbawieniem lub z gniewem. Warto jednak przez chwilę wyzwolić się od ahistorycznego poczucia wyższości tych, którzy wiedzą już wszystko o NKWD i Kołymie, i spróbować zrozumieć stan umysłu, *mindset* „europejskiego człowieka lewicy” – to może być André Gide, to może być Aleksander Wat – w kilka lat po rewolucji.

Obserwuje on – tak, przez brudne szkła, przez pryzmat sprzecznych doniesień prasowych – „wielki plac budowy”, gdzie, jak się zdaje, spełnia się bardzo wiele z marzeń, które w jego środowisku, w jego kręgu, żywe były od wielu lat, jeśli nie od wieku. O powszechnej, bezpłatnej oświacie. O wiejskich szpitalach i sanatoriach dla gruźlików. O rentach dla inwalidów i wydawaniu w wielkich nakładach klasyków kultury.

Ale, co może jeszcze ważniejsze, w tym wyśnionym świecie każdego dnia dokonuje się rozprawa z absurdami, które też obecne były od zawsze, ale we współczesnych nam czasach jest ich jakby więcej i ciążą coraz nieznośniej. Z absurdami tytułów i przywilejów, z głupotą i obłudą drobnomieszczańskiego życia. Z groźnym absurdem bezrobocia milionów mężczyzn, którzy nie mogą wyżywić swoich rodzin. Z malowniczym, tylekroć przywoływanym absurdem wysypywanej do morza lub palonej w wielkich stosach żywności w imię utrzymania wysokich kursów na giełdzie surowców.

Ludzie europejskiej lewicy mogli, owszem, coś słyszeć o tym, że poeci awangardowi nie mają w Leningradzie łatwo, że mechanizm konfiskat nadwyżek żywności bywa brutalny, a karykatury na łamach „Bezbożnika” są, choć słuszne, mało finezyjne. Są jednak w sytuacji w swoim przekonaniu dramatycznej, a na pewno – niełatwej i niewygodnej. Potępic „państwo robotników i chłopów” to znaczy – patrzeć na triumfujące gęby prawicy, tłuste pyski rentierów, feldfebli, cwaniaków i bankierów, którzy od początku drwili, że ten socjalizm to jedna wielka blaga, że nie może się nic takiego udać (niektórzy, najbardziej prymitywni, dodawali jeszcze zwykle, że to żydowska intryga). Zresztą, mniejsza nawet o triumf „tamtych”: bardziej bolesna

jest utrata własnej nadziei. Jeśli w Leningradzie się naprawdę nie udało, to znaczy, że wielkie reformy społeczne są niemożliwe, że nigdy nie będzie bezpłatnych szkół i szpitali, że jesteśmy skazani na szarpaninę między burdelem, fabryką i szynkiem.

Wspieraj wydawanie TPCT w 2026 roku!

Krytykować półgębkiem? Zgadzać się, że niektóre posunięcia Kremla zbyt brutalne, że niektóre projekty chybione? To znaczy – sprawić, że nasz głos będzie nie tylko nieodróżniany od głosu kapitalistów i konserwatystów, ale i kompletnie niesłyszalny: bo tamci od początku wrzeszczą, że „socjaliści to złodzieje”, i tyle, i to im wystarcza, pławią się w swoim poczuciu triumfu i pogardy. Pogardy dla „tamtych”, dla nas nadal świętych albo bodaj szanowanych: Ściegiennych, Grabowców, Siłaczek, „księży – robotników” i Gandhiego. Zgodzić się, że „socjalizm to złodziejstwo i zbrodnia” – czy to nie tyle, co wyrzec się tamtych? Ich nadziei, ich poświęcenia, ich nazywania niesprawiedliwości?

To ogromnie trudne. Wyjątkowym hartem okazali się polscy socjaliści. Wracam do monografii Ewy Pejaś „Wszyscy skazańcy rozstrzelani” (Instytut Narutowicza, 2026), opisującej postawy intelektualistów PPS wobec stalinowskiego terroru i procesów lat 1936-1938. Każde właściwie przytaczane tam zdanie Kazimierza Czapińskiego czy Mieczysława Niedziałkowskiego napawa dumą: można było pisać o ówczesnych *poputczikach*, chwaliących Andrieja Wszyńskiego jako o „zjawisku jeszcze smutniejszym i jeszcze wstrętniejszym od samego procesu” i o tym, że „Hitler i Mussolini nie mogli sobie wyobrazić, nie zdołaliby wyreżyserować lepszej dywersji [sprawy socjalizmu – niż rządy Stalina, ws]”.

Większość nie potrafiła się na to zdobyć, bała się, że głos, potępiający zarazem Hitlera i Stalina okaże się cieńszy od pisku. Porzucenie nadziei, której oddali lata, było naprawdę trudne. Kluczyli, starali się nie dostrzegać – nie zawsze przez wyrachowanie czy głupotę. Znacznie częściej przez lęk lub rozpacz, że nie zostanie im nic, przez niezdolność dołączenia do sytych, zachwyconych sobą triumfatorów, publikujących do znużenia w popołudniówkach pamflety na „żydowskich komisarzy”. Rozumiem ich lepiej niż przed laty, kiedy z nich drwiłem. Najfatalniej wyglądają oczywiście ci, którzy nie mieli złudzeń co do sytuacji w Sowietach – ale nadal trzymali wysoko gardę, bo „nie wolno odbierać nadziei robotnikom z Billancourt”. Nawet oni jednak (jeśli nie byli tylko jurgielnikami Kremla, czego akurat Sartre’owi nie można zarzucić) – prowadzili swoją grę, zabiegali o zwycięstwo jakiejś, w ich przekonaniu, słusznej sprawy, nawet, jeśli cynizm tej gry jest dla mnie nie do przyjęcia.

Dodajmy jeszcze jedno: oczywiście, *reductio ad Stalinum* jest równie demagogiczne co nierównie częściej uprawiane *reductio ad Hitlerum*. Jeśli sięgnąłem po nie w tej paraboli, to w płonnej zapewne nadziei, że wytłumaczę cokolwiek wrzeszczącym bez ustanku, że „europejska prawica pada na kolana przed Trumpem”.

Czasem pada, czasem nie pada. Czasem nie bardzo ma się gdzie cofnąć, nie chcąc się godzić na *Le Grand Replacement*, przemilczanie skali przemocy imigranckich gangów czy drastyczne zmiany w edukacji. Niewątpliwie jednak najbardziej godna szacunku jest prostolinijność i uczciwość – na miarę przedwojennych towarzyszy z PPS, ale też, równie stanowczo potępiających dziki kapitalizm i komunizm, ludzi Verbum czy Mariana Zdziechowskiego.

Wojciech Stanisławski

**Przeczytaj również: Felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu
„Barwy kampanii”**